

Kto żyje w świecie przesądów?

15 czerwca 2025

Etnolodzy twierdzą, że opis oraz interpretacja są kluczem do poznania kultury, tj. uczynienia możliwym do zrozumienia sensów praktyk, które podejmują badane wspólnoty. Ich zdaniem każdy taki opis oraz interpretacja są w nieunikniony sposób także opisem samego opisującego, gdyż zazwyczaj nieświadomie, tj. milcząco dla własnej świadomości poznawczej, opisujący narzucają swoje przesady, imputują coś opisywanym, co wcale nie musi się okazać prawdą z punktu widzenia czy doświadczenia tych ostatnich. Z tego powodu mówią o konieczności podjęcia próby podzielenia tego doświadczenia poprzez badania terenowe, zbliżenie się do świata życia tych ludzi tak bardzo jak się da, aby zobaczyć świat z ich punktu widzenia.



Jedną z praktyk kulturowych, którą polscy etnografowie opisywali z dużym zacięciem, była praktyka religijna polskiego ludu znana pod nazwą religijności ludowej czy religijności typu ludowego. Każdy, kto studiował etnologię czy socjologię, stykał się z klasykami polskiej myśli etnologicznej opisującymi wierzenia polskiego ludu. Szczególną rolę odegrały ustalenia skądinąd wybitnych polskich socjologów: Floriana Znanieckiego oraz Stefana Czarnowskiego. Sumując ustalenia

tych i innych badaczy można podać najistotniejsze cechy religijności ludowej.

Pierwsza z nich to sensualizm, czyli wrażliwość na zmysłowy kontakt z obiektem kultury, który jest nie tyle symbolem świętości, ile świętość się w nim zawiera (to naleciałość myślenia magicznego). Druga to socjomorfizm, czyli przenoszenie na święte postaci wyobrażeń i ról społecznych znanych z rzeczywistości wioskowej. Trzecia to rytualizm wyrażający się w skrupulatnym przestrzeganiu sekwencji działań (ujawnia się tutaj tradycjonalizm), które jednak były, zdaniem badaczy, duchowo powierzchowne ze względu m.in. na słabą znajomość doktryny. Czwarta to uczuciowość, a nawet swoisty sentymentalizm i gorliwość we wspólnotowym i ostentacyjnym przeżywaniu rytuału. Piąta cecha to wspólnotowość, albowiem religijność ludowa wyraża się we wspólnocie – czy to narodowej („nacionalizm wyznaniowy”) czy lokalnej (np. parafialnej, wioskowej) – a indywidualne przeżycie jest czymś wtórnym.

Nie trzeba nawet sięgać do profesjonalnej literatury etnologicznej, aby wyobrazić sobie oraz zrozumieć obraz świata kształtowany przez ten typ religijności. Wystarczy przeczytać „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego lub obejrzeć znakomity film na jej podstawie.

Choć etnologiczne opisy trafnie rozpoznawały cechy dystynktywne tego typu religijności, pomijały coś niezwykle istotnego, wręcz fundamentalnego, co wybrzmiało w słowach Ludwika Stommy: „Do samego kościoła zagląda większość etnografów tylko po to, aby zauważyć, że na św. Szczepana (26 XII) sypią w niektórych okolicach ziarno z chóru. Reszta wydaje się redundantna nieistotna dla chłopskiej egzystencji. Jakby rzeczywiście nie chcieli etnografowie przyjąć do wiadomości dosyć oczywistego faktu, że «ten prosty naród wierzy» i że ma to istotne konsekwencje dla jego kultury”.

Do tego „oczywistego faktu” etnografowie, będący prawie zawsze inteligentami posługującymi się pozytywistyczno-scjentyistyczną

aparaturą pojęciową, docierali z trudem, o ile w ogóle byli nim zainteresowani.

Przyjmowali oni wobec religijności ludowej postawę mniej lub bardziej krytyczną, niekiedy wręcz ją piętnując lub wyśmiewając jako zabobon, wskazując na odejście od doktryny, jej synkretyzm z ludowymi kategoriami kulturowymi i pogańskimi naleciałościami. W efekcie uzyskaliśmy obraz religijności ludowej jako fasadowej, w ostateczności karykaturalnej i nieprawdziwej, gdyż nie przeżywanej z odpowiednią głębią. Zamiast przeżycia mamy do czynienia raczej z pustym gestem rytualnym spajającym lud w sensie wspólnotowo-społecznym niż dający jakoby jednostce kontaktu z transcendentnym Bogiem.

Czy interpretacja ta jest trafna? Czy ludowa wiara faktycznie jest tak powierzchowna i pozbawiona przeżycia wewnętrznego? Czy nie pobrzmiewa w etnograficznym opisie pycha inteligenckiej wyższości nad nie dość wykształconym ludem?

Bardzo trafnej krytyki etnograficznych opisów religijności ludowej dokonała Izabela Bukraba-Rylska w artykule „Religijność ludowa i jej niemuzykalni krytycy”. Mówiąc najkrócej, zdaniem tej socjolożki wsi opozycja powierzchowność – głębia, jest poznawczo wątpliwa. Słusznie bowiem pyta: dlaczego na przykład wrażliwość na zmysłowy konkret miałaby być czymś gorszym niż zdolność do symbolicznego traktowania tajemnicy wiary? Dlaczego silna emocjonalność, właściwa dla przeżywania katolickich obrzędów, zasługuje musi na krytykę, jeśli czas misterium jest momentem rzeczywistego uobecnienia, a nie jedynie przypomnienia zbawczej obecności Boga? Z jakiego powodu zakładać, że intelektualizm i osobiste doświadczenie sacrum są czymś lepszym niż wspólnotowe, mocno przeniknięte uczuciem przeżywanie tajemnic wiary?

Bukraba-Rylska, w czym nie jest odosobniona, trafnie zwraca uwagę, że mamy do czynienia z obrazem jednostronnym, powierzchownym i będącym wynikiem dążenia do infantylizowania oraz deprecjonowania religijności ludowej – i że te wszystkie

zabiegi wynikają ze światopoglądu samych badaczy.

Inaczej przedstawia się jakoby powierzchowna i rytualna wiara z perspektywy badaczy terenowych.

Na przykład Anna Niedźwiedź sprzeciwia się przekonaniu, że w religijności ludowej, traktowanej jako masowa, nie istnieje przeżycie wewnętrzne, duchowe. Wręcz przeciwnie, na podstawie rozmów z badanymi, słuchając tego, co mają oni do powiedzenia, stwierdza, że przedstawiciele tego typu religijności mają bardzo głębokie życie duchowe wynikającą właśnie z bezpośredniości powodującej intensywność przeżyć.

Mówić krótko, by przywołać tytuł pięknego tekstu Michała Łuczewskiego, Czarnowski zbłądził. Zbłądził, gdyż, jak wielu innych badaczy, był typowym polskim inteligentem, który, co widoczne jest także dzisiaj, nie rozumie ludu, gdyż nie jest z nim w relacji równości, lecz w relacji hierarchii. Zgodnie z ideałami Oświecenia ma cywilizować barbarzyński lud. Nie interesuje go, dlaczego lud jest taki, a nie inny, liczy się bowiem to, jaki być powinien – a powinien być tym, jak on go sobie wyobrazi. Trafnie zauważa Łuczewski, iż opisy wiary ludu przypominają raczej klasyczny dyskurs kolonialny niż bezstronną analizę. Odzwierciedlają przesady samych badaczy, a nie badanych, tworząc karykaturę z ich przeżywanego świata. Łuczewski krok po kroku rozbraja utarte przekonania dotyczące religijności ludowej, pokazując jak od środka, z punktu widzenia badanych, są one przeżywane, oddając tym samym sprawiedliwość doświadczeniu konkretnego człowieka.

Przykładem jest jeden z bohaterów tekstu Łuczewskiego, Michał, o którym autor mówi, iż nie jest jedynie świadkiem „religijności ludowej”, lecz świadkiem Chrystusa. Dzięki obcowaniu z tym typem religijności sam badacz się nawraca, przyznając, iż procesem rozumienia w terenie, jakiego doświadcza badacz, jest konwersja religijna, która staje się w jego przypadku rzeczywistością, a nie metaforą.

To przykład tego, jak żywe doświadczenie wiary, jakoby nieobecne w tym modelu religijności, może przemienić podmiot zakorzeniony przecież w zdystansowanym oglądzie naukowym, któremu jednak umykałoby to, co najważniejsze. Co więcej, ten naukowy i jakoby bezstronny opis, chełpiący się swoją znajomością doktryny, może nie tylko fałszować obraz żywej wiary, ale wręcz ją unicestwiać.

Znakomicie zobrazował tę kwestię Roman Brandstaetter jako opis inteligenckiego grzechu w imię prawdy. W jednej z refleksji zawartej w „Kręgu Biblijnym” wspomina wieczorne lektury Pisma Świętego. Był wtedy dzieckiem odkrywającym dopiero piękno wiary, a jego przewodnikiem był dziadek, który uczył go obcowania ze Słowem. Czytaj powoli, nie połykaj liter, wejdź w siebie – radzi chłopcu. Po latach uzna on te wspólne chwile za najpiękniejsze momenty dzieciństwa, które znajdują swoje odzwierciedlenie w pierwszych wersach wspomnianej książki: „Nikt z nas nie posiada przepisu na dobre i właściwe przeżywanie Pisma Świętego ani nikt nie może nikomu takiej recepty przekazać. Każdy musi sam dla siebie zdobyć tę umiejętność, zwłaszcza, że jest ona zawsze równoznaczna z szukaniem tego, co pragniemy znaleźć w księdze, która udziela nam odpowiedzi na dręczące pytania. Ponieważ w zależności od naszych niepokojów i trosk stawiamy Świętej Księdze różne pytania, każdy z nas powinien ją na swój własny sposób czytać, przeżywać i wsłuchiwać się w udzielane przez nią nauki”.

Słowem, do tajemnicy Boga zawartej w Piśmie wiedzie wiele dróg, i nie jest On tylko tym, kogo trzeba czcić, lecz w którym trzeba mieszkać. W jednym z tekstów „Kręgu Biblijnego”, pt. „Wieczór pod lampą gazową”, Brandstaetter przywołuje namysł nad fragmentem z Drugiej Księgi Kronik, dotyczącej króla Manasesa, który zgrzeszył oddając cześć posągom pogańskich bóstw. Ale to nie jedyny jego grzech, gdyż znacznie poważniejszym było, poprzez swoje czyny, odebranie wiary innym, tj. swojemu ludowi. Są grzechy, mówi Dziadek, które ludzie popełniają w imię prawdy i ku chwale prawdy – i to one

są najcięższe.

Jak to uzasadnia? Opowiada następującą przypowieść. W mieście Safed, w północnej Galilei, mieszkał pobożny Żyd imieniem Abraham. Pewnego dnia, gdy, jak codziennie, modlił się w synagodze, usłyszał kazanie jednego z bogobojnych i słynących z mądrości rabbiego, który na wspomnienie chwały Izraela, przypomniał dawny zwyczaj składania chlebów z Świątyni Pańskiej. Abraham słysząc lament rabbiego zapłakał nad smutnym losem swojego ludu i ślubował pobożnie składać raz w tygodniu dwa chleby. Wkładane po kryjomu do świętej arki bochenki znikały, co traktował on z radością jako dowód, iż Pan przychylnym okiem spoglądał na jego dary i spożył je ze smakiem. Wzruszony dziękował, że Bóg wysłuchuje jego gorących modlitw.

Pewnego dnia, składając swoje dary Panu, usłyszał za sobą głos stojącego za nim rabbiego, który zapytał go, co czyni i czy wie, co dzieje się z jego chlebami. Odpowiedział, zgodnie ze swoim przekonaniem, iż Pan okazuje mu łaskę spożywając jego ofiarę. Głupcze – pouczył go rabbi – przecież Bóg jest niewidzialny, nieskończony i nieograniczony ciałem, nie posiada żadnych cielesnych właściwości, tym bardziej ust, do których wkładałby twoje bochenki i trawiącego je żołądka. Jesteś prostakiem i nieukiem. Co więcej: dopuściłeś się grzechu. Twoje chleby zaś zjada nieuczciwy dozorca, którego przyłapałem na tym uczynku, chcąc dowiedzieć się, któż jest taki szalony, aby wkładać bochenki do arki.

Abraham zapłakał, zrozumiał, iż czcząc Pana wedle swojej najlepszej woli, zabluznił przeciw Niemu swoim nieuctwem i głupotą. Rozgniewał Pana, który odwrócił oblicze od jego darów. Zgnębiony i rozczarowany opuścił świątynię i wrócił do domu.

W nocy do rabbiego przyszedł Bóg i powiedział: „Chciałeś wyprowadzić z błędu pobożnego człowieka, ale w swoim zacietrzewionym dążeniu do prawdy zapomniałeś o tym, że nie

jest ważne, czy Ja, Pan Zastępów, spożywam te chleby, czy spożywa je nieuczciwy sługa boży. Albowiem ważne jest tylko, że Abraham, człowiek prostego serca, wierzył, iż Ja, Bóg, posiliłem się jego chlebem. A ty co zrobiłeś? Zabiłeś wiarę pobożnego człowieka! Kto zabija wiarę człowieka nawet w imię prawdy, winien jest śmierci, bo czyni tak, jakby zabił samego człowieka. Dlatego umrzesz, rabbi”.

Najczęściej ta prosta wiara jest postrzegana jako rzekomo nieskażona pogłębioną refleksją teologiczną, w związku z czym pozbawiona głębi intelektualnej, a zatem, prosty wniosek, nieprawdziwa. Wniosek to jednak nie tyle prosty, ile prostacki, gdyż polegający na wywyższeniu i zuniwersalizowaniu własnej postawy, jak gdyby tylko jedna droga biegła do Pana. Co więcej, w Ewangelii Św. Mateusza Chrystus mówi, że aby wejść do Królestwa Niebieskiego trzeba być jak dziecko, co oznacza między innymi, że tak jak ono trzeba stać się ufnym w nierefleksyjnym trybie (to wszak uczeni w piśmie mieli problemy z uwierzeniem).

Typowy polski inteligent, gardzący religią chrześcijańską, a szczególnie jej ludową wersją, uwielbia w internecie poinformować o podsłuchanych przez siebie strzępkach rozmów, najczęściej na cmentarzu we Wszystkich Świętych. W ogóle zrobiła się jakaś moda na podsłuchiwanie innych ludzi, by wyłować jakieś sformułowanie i inteligencko zinterpretować językowy obraz świata. Szkoda że nie potrafi zobaczyć tej ulotnej chwili misterium nad grobami bliskich. Potrafi on jedynie wyśmiewać coś, czego nie pojmuje jego ograbiony z sacrum oraz ograniczony umysł uformowany przez nowoczesność, „religijną niemuzykałość”, indywidualizm i Rozum.

Jak trafnie zapytuje Magdalena Zowczak, autorka znakomitej „Biblii ludowej” opowiadającej o interpretacji wątków religijnych w kulturze ludowej: „Dlaczego etnolodzy tak otwarci na myślenie mityczne czy magiczne, kiedy dochodzi do opisu tzw. ludowej religijności, wciąż powtarzają pejoratywne zabarwione określenia, zapożyczone od socjologów z minionej

epoki: utylitaryzm, socjomorfizm, rytualizm, sensualizm, które stanowią powtórzenie odwiecznych zarzutów kierowanych przeciw katolicyzmowi przez protestantów czy prawosławnych?”.

Dlaczego nie dostrzec w religijności ludowej pierwocin magicznego doświadczenia świata? Intymnego kontaktu z sacrum, rekompensującego, a być może nawet przewyższającego poznanie intelektualne? Te pytania wybrzmiewają jeszcze wyraźniej, jeśli uświadomić sobie, że spora część dzisiejszych polskich posthumanistów o proveniencji tzw. lewicowej z lubością oddaje się powrotowi do magii w postaci „nowego animizmu”, ożywiania dawnych mitycznych wyobrażeń. Czynią zatem to, co było udziałem prostego ludu, który czuł kontakt z sacrum, a którego nie czują już oni, gdyż nazbyt się odczarowali. Lud wydaje się infantylny wierząc w „Boże stópki” (ślady Jezusa odcisnięte w kamieniach), ale rzeka mająca swoją ludzką czy zwierzęcą osobowość jest do przyjęcia. Samych siebie jednak za te przekonania nie piętnują, lecz wywyższają, co zdradza ich ideologiczność oraz obecność struktury długiego trwania w postaci postkolonialnej mentalności rzutującej nawet na ich obraz współczesnej polskiej religijności oraz osób wierzących.

Bardzo mądrze pisał Dariusz Czaja, krakowski etnolog podróżujący po włoskim Południu, jak nietrafnym określeniem jest opisywanie miejskiej procesji religijnej poprzez pojęcie jakoby zwietrzałego z treści „folkloru religijnego”: „Zwykliśmy czasem pytać – z troską albo trwogą – czy w tego rodzaju obrzędach wspólnotowych jest jeszcze dzisiaj pełnia przeżycia, czy są to już tylko wydrążone formy przywołujące pamięć niegdysiejszej świetności. Czy dzisiejsza procesja to tylko martwy skansen marionetek poruszanych sznurkami tradycji, czy forma żywa? Nie wiem jak gdzie indziej, ale w Monte Sant’ Angelo wątpliwości te okazują się całkiem puste w środku. I jeśli nawet nie do końca wiadomo, co jest istotną treścią tego przeżycia (kto jest tak mądry, by nam to metodycznie wyłożyć?), to niezbędność tego corocznego spektaklu jest tutaj faktem. Spróbujcie tym wszystkim ludziom

powiedzieć, że w przyszłym roku procesja się nie odbędzie! Co było – ma trwać, mówi ten korowód, a siła, z jaką to zaświadcza, nie pozwala wątpić w prawdziwość tego przekonania. W tym pochodzie ze śpiewem i chorągwiami nie ma nic z dewocyjnej ostentacji, nic z ducha religijnego tryumfalizmu. Jest natomiast coś swojskiego, naturalnego i zwykłego. Jest spokojna pewność, że dawne gesty są po to, by je powtarzać. Że jest tak, jak ma być. I że będzie tak jak jest”.

Religijność ludowa nie jest zachętą do braku religijnego namysłu, nie jest cyklicznie powtarzaną pustą formą. Jest inną formą doświadczenia sacrum, tj. jako namacalnego konkretnego, realnego przeżycia zamiast intelektualnej abstrakcji. Inną – nie oznacza gorszą, do czego przecież zawsze przekonują nas etnolodzy.

Uczuciowa siła tego religijnego przeżycia z całą mocą objawia się w tzw. ludowej sztuce nieprofesjonalnej, tworzonej przez osoby przesiąknięte ludowym typem religijności. Heródek, jeden z bohaterów „Sztuki zwanej naiwną” Aleksandra Jackowskiego, tworzący z wielkiej religijnej potrzeby, ustawiał wyrzeźbione przez siebie anioły na łące i siadał między nimi, tworząc własną, namacalną realność Nieba. Wzruszają szaty Chrystusa, które malował własną krwią. Ujmuje Józef Lurka, który rzeźbiąc „Zaparcie Św. Piotra” ćwiczył wyraz jego twarzy – płakał, czując swoją i Piotra małość w obliczu samotnego i upokorzonego Jezusa. W rzeźbie przedstawiającej pożegnanie Jezusa przez Marię dał jej twarz własnej matki.

Z uczucia wydobywa się głos być może znacznie głębszy niż pochodzący z umysłów teologów: religio oznacza więź z Bogiem, tu i teraz obecną oraz przeżywaną, konkretną i prawdziwą jak krzesło, na którym siedzę. Bóg nigdy nie był bliżej człowieka.

Autorstwo: dr Michał Rydlewski

Zdjęcie: [Luidmila Kot](#) (CC0)

Źródło: NowyObywatel.pl